Rozmaitości

Dnia 4. Kwietnia **Ner. 14.** Roku 1840.

MALARZ.
POWIASTKA.
(SKREŚLONA Z ŻYCIA ARTYSTY.)

O boska sztuko, twoim urokiem najtwardsze serca miękną!

»Co za stroma skała!« rzekł sam do siebie pewien młody człowiek, który stanąwszy na krawędzi pionowéj skały, okropnie głęboką przepaść przeskoczyć się zabiérał.« Zapewne sam Prometeusz do stromszéj przykutym nie był. Zdaje się, iż tę otchłań natura jedynie na doświadczenie śmiałéj odwagi i niezłomnéj woli utworzyła. Dwie piękne siły, które Eszyl tak bosko uwiecznił!«

»Gdybym się kiedy mógł tak szczytnéj chwały dobić, iżby imię moje wiek wieków podawane, w głęboką potomność przeszło, pozwoliłbym, aby ta skała drugim Kaukazem dla mnie była! Pozwoliłbym, aby się do mnie z głębi obłoku lotem pioruna ów sęp spuścił, który owemu wielkiemu śmiertelnikowi za to w sztuki serce szarpał, że niebianom święty ogień wykraść się poważył.«

W chwili, gdy młodzieniec takim wzniosłym uczuciom się oddawał, z-oczył go srogi zbójca z Abruzzów, i podszedłszy złodziejsko, rzekł mu okropnym głosem do ucha: »Piéniądze lub życie.«

Młodzieniec podniosłszy głowę spojrzał na zbójcę okiem obojętném w dowód, że podobna groźba, nie dla niego przestrachem była.

»Pieniądze?« odrzekł, »idź na ową dolinę, do ostatniéj gospody, tam je zostawiłem. Mnie nic nie pozostało, jak tylko życie; odbiérz je, jeźli ci się podoba; ja mało o nie stoję.« Słowa te wyrzekł z takim smutkiem, iż zbójca wymierzoną strzelbę natychmiast ku ziemi spuścił, i tknięty litością, jaką obce ciérpienia nawet w najtwardszém sercu wzbudzają, zbliżył się do niego.

»Niedbasz o życie?—hm; jesteś nieszczęśliwym? więc zostań z nami, bądź naszym towarzyszem.«

Gdy to wyrzekł, zbliżyło się więcéj bandytów, a między nimi niewiasta rzadkiéj piękności, która postrzegłszy przychodnia, poskoczyła ku zbójcy dla przekonania się, że nie jest w niebezpieczeństwie.

»Nie lękaj się Marjetto; bezbronny chłopiec, dla mnież niebezpieczny? Zapewne malarz; nie widziszże na szczycie owéj skały téki jego z papiérami?«

»Zabić go!« zawołał jeden z nich wiekiem podeszły, zdający się być naczelnikiem bandy, na którego srogiéj twarzy wyryte było surowe piętno jego rzemiosła. »Zabić go, mówię wam!«

»Ci przeklęci malarze, onito biorą w pamięć twarze nasze, niosą je do swych pracowni, rzucają na płótno, a potém je zwierzchność rozséła po miastach i wioskach, przezco my do kościoła śmiało uczęszczać nie możemy; onito są przyczyną, że już na mszy świętéj od lat kilku nie byłem! Zabić go, mówię wam!«

»Ależ chciéj zważyć ojcze«, rzekł poddowódzca, »ten żwawiec zdaje się być poróżnionym ze światem, a kto nieznając ścieżek naszych, na tę skałę się wdziéra, jest zapewne wart względu. Straciliśmy zucha Franceska, który był w jego wieku,

a ja mu dałem radę, aby się do nas przyłączył.«

»Dziękuję ci za wstawienie się za mną, ale z niego korzystać nie mogę«, rzekł młodzieniec ozięble, »gdyż rzemiosło wasze nie dla mnie.«

»Hm — myślałem, że jesteś prawy syn Neapolu, że chronisz się przed okrucieństwem Hiszpanów«, rzekł naczelnik rozbójników zmarszczywszy groźne czoło.

»Nie inaczéj, jestem prawym synem Neapolu i nie nawidzę Hiszpanów, ale pod pozorem narodowego nieszczęścia, nie myślę polować na ich worki.«

»Zabijcie go, zabijcie natychmiast!« rzekł rozkazującym tonem stary zbójca.

Na te słowa zamilkł poddowódzca, a żaden z bandytów nie podniósł głosu za młodzieńcem, jedna tylko niewiasta poziérała nań wzrokiem ciekawym i pełnym politowania, ale w téj strasznéj chwili, śród tak srogich postaci, nic powiedzieć nie śmiała.

»O jedne tylko proszę was łaskę«, odrzekł przychodzień, »pozwólcie mi, niech jeszcze raz ze szczytu owéj skały nasycę się tym przecudnie pięknym widokiem. Słońce osuło się mgłą obłoku, jego złociste promienie łamią się zachwycającym urokiem, pozwólcież mi, niech jeszcze raz ostatni uwielbię naturę w jéj świątyni!«

»Pozwalam ci, stań na szczycie téj skały,« odezwał się naczelnik rozbójników, »i tam jesteś nam pewny, ale wychyl się nad przepaść, abyś, jeżeli cię kula od razu nie ubije, dobił się w przepaści, a my nie mieli potrzeby nabijać powtórnie.«

»Zgoda!« odrzekł młodzieniec, »przystaję na ten warunek.«

To rzekłszy, poszedł i stanął na szczycie skały, panującéj nad roztoczystą doliną, po któréj wszelki przepych włoskiego nieba okwicie się rozwinął. Poddowódzca bandytów widząc w nim taką heroiczną obojętność, oparł z litośną miną ramię swoje o strzelbę, a drugiém przytulił Marjettę do piersi, podczas gdy drudzy bandyci odwiodłszy kurki, już na skinienie naczelnika w pogotowiu stali.

»O nieba!« rzekł z zachwyceniem młodzieniec, zdziwiony nieprzebranym przepychem tak spaniałego obrazu; »jakiéžto niewysłowione bogactwo! Któż kiedy widział tak dziwnie wielką w naturze sporność? Tu w górze tak skąpa, tak martwa, surowa, a tam na dole roztacza wszystkie swe cudy, tak hojnie i okwicie! Po tak zachwycająco-wzniosłéj, po tak rozkosznie pięknéj chwili, nie żal mi umiérać! O Boże, jakże ci wdzięczen jestem za ten czarujący widok przed moim zgonem!«

To rzekłszy, ukląkł i zatonął w uwielbieniu spaniałéj natury.

Bandyci przyłożyli strzelby do twarzy. Marjetta cichym głosem wykrzyknęła: »Jezus Maryja!« Poddowódzca spuścił wzrok w ziemię, a naczelnik zbójców zawołał: »Stójcie! teraz się modli, nie przerywajmy mu modlitwy.«

Ale młodzieniec klęczał i klęczał, klęczał długo.

»Czy on cały rożaniec pacierzy odmawia«, ozwał się nakoniec stary zbójca, któremu już cierpliwości nie stało; »pójdę wstrząsnę go za ramię, niech już raz skończy.« To rzekłszy zbliżył się do młodzieńca i stanąwszy zcicha za nim spostrzegł, iż ten swoję tekę na kolanie oparłszy, jakąś piękną okolicę z największym zapałem rysował.

Zaledwo stary zbójca na pracę malarza ciekawym wzrokiem rzucił, i śród cienistych drzew, zwaliska staréj, do skały przypartéj chaty ujrzał, natychmiast z zadziwienia wykrzyknął:

»Co ja widzę? mój stary domek—! mój stary domek — w którym po raz pierwszy dzienne światło ujrzałem! — O ty moja luba, rodzinna, przez dzikiego żołniérza spustoszona strzecho! Jakimże cudem znowu jawisz się moim oczom! — Jak mi Bóg miły, człowiek ten wydobył cię z gruzów swoją rószczką czarodziejską! O jakżem szczęśliwy, że cię jeszcze raz przed moją śmiercią oglądam!«

»Byłto zapewne kiedyś piękny, schludny domeczek« — migając czarną krédą po grubym welinowym papiérze, rzekł młodzieniec obojętnie.

»O, był takim właśnie, jakim go tu zbudowałeś«, odrzekł starzec, a łza mu zbłąkała się w oku. »Jak pięknie wznosił się pomiędzy rozkosznémi, pełnych róż krzakami, które dwa razy na rok kwitły! Drzwi jego

witało przyjaźnie wschodzące słońce, winna macica otaczała go bujnym liściem, i zapraszała wieńcami swémi zbłąkanego gościa do poufnego wstępu. W tym domku żył mój osiwiały ojciec błogo i spokojnie! Aż oto naraz zjawia się hiszpańskie żołdactwo, żąda opłaty uciążliwego podatku, i zabiéra wszystko. Mój ojciec stawi opór, i pada pod jego razami; matka umiéra, a ja postradawszy rodziców, uchodzę w góry i — pod tym gwieździstym stropem nieba, zostaje włóczęgą! Od tego czasu poprzysiągłem ludzkości zemstę, i krwawo, okropnie ją wykonywam. Serce moje zakamieniało, prędzéj o nie palącą iskrę wykrzeszesz, aniżeli z oka mego kropelkę wody wyciśniesz; pomściłem się méj krzywdy, ale jeszcze i teraz, gdy na tę spustoszałą, w gruzach zapadłą chatę spojrzę, niewymowna boleść serce moje przenika.«

To rzekłszy stary zbójca, odwrócił się i łzę z oka otarł; a gdy powtórnie na pracę malarza spojrzał, jakże się nie zdziwił, że schludną, zielonym bluszczem uwieńczoną chatę ujrzał, przed któréj drzwiami najpiękniejsze róże kwitnęły; w tym bowiem czasie, gdy starzec minione chwile sobie przypominał, ozdobił ją w ten sposób artysta.

»Tak, to ona! tak wyglądała«, zawołał zmieszany naczelnik zbójców, i ścisnął z zapałem rękę artysty. Zdumieni tym wypadkiem towarzysze jego, przybliżyli się do miejsca, na którém się to działo; a gdy im palcem na rysunek artysty wskazał, nie mogli się nadziwić talentowi jego.

»Nieprawdaż przyjaciele«, rzekł młodzieniec pochwałą rozegrzany, »nieprawdaż, że natura w tém miejscu hojnie życie swoje rozlała, i że ona w mojém oku jak w źwierciedle się odbija? Nieprawdaż, żem ja ani na kardynała, ani na prałata się nie urodził, że mam talent, i mogę w czasie wielkim być artystą.«

»Rodzice moi oddali mnie na naukę do kongregacyi w Somassa, gdzie z największą ochotą starałem się uczuć i zrozumieć starożytnych łacińskich poetów; lecz gdy mnie muzykowi, poecie, malarzowi osowiałą naukę filozofii dawać zaczęto, porzuciłem ich rogate sylogizmy i metafizyczne subtelne rozprawy, i poszedłem w świat za oczy. Mam teraz lat ośmnaście, w sercu mojem wre zapał i miłość do sztuki, wolę żyć przestać, niż pędzić długie i nudne życie. Góry te obrałem za metę zawodu mego, z ich szczytu rzucić się w przepaść postanowiłem, jeżeli szczęście do mnie się nie uśmiéchnie. Rodzina moja uboga; ojciec mój Antonio Rosa, jest pracowitym, ale biédnym artystą. Bóg nie dozwolił, abym przy jego boku, pod jego okiem oddawał się sztuce, którą ubóstwiam; życzył on sobie, ażebym został teologiem, ale wolę raczéj błąkać się po tych górach i waszym śmiercio-nośnym lufom za cel służyć, niż obrać sobie stan, do którego w sobie powołania nie czuję.«

»Nie rozpaczaj zacny młodzieńcze«, rzekł poddowódzca bandytow, »odtąd bierzemy cię w nasze opiekę. I ja byłem niegdyś malarzem, chociaż mię teraz w tym stanie oglądasz; zamieniłem pęzel na strzelbę morderczą, bom kochał córkę tego starca.« Gdy to rzekł, Marjetta przytuliła się do piersi jego.

»Przypatrz się téj twarzy, nie jestże to twarz Madonny Rafała? kocham ją ogniem najgorętszéj namiętności; dla pozyskania jéj ręki, rozbójnikiem zostałem.«

»Prawda, że jest piękną«, odrzekł młodzieniec wpatrzywszy się ognistym wzrokiem w towarzyszkę bandyty, »będzie to spaniały obraz, dam ci go za moje ocalenie.«

Na te słowa oczy dziewicy rozpromieniły się radością, a stary bandyta poglądał na nią z uśmiéchem. Serce jego jeszcze tylko jednem żyło uczuciem: przywiązaniem do swojéj córki i do spustoszałéj swéj chaty.

»Przystaję na twój warunek«, odrzekł stary bandyta, »lecz zamiana ta nie jest stósowna, ja ci złotym pieniądzem twój obraz pokryję, tak pewnie, jak pewien tego jestem, iż przyjdzie czas, w którym każda kreska twojego ołówka, złotem opłacona będzie. Młodzieńcze bądź błogiéj myśli, świetną ci przyszłość zapowiadam.«

Młodzieniec wziął się natychmiast z zapałem do rysunku, i w kilku godzinach oddał wiernie cieniami krédy wszystkie rysy twarzy spaniałéj, przed nim stojącéj dziewicy. Gdy pracę skończył, cała banda zdziwiła

się nadzwyczajném podobieństwem obrazu, a Marjetta rzuciła się swemu miłemu na szyję.

»Oto masz dwieście skudów mój synu«, rzekł uradowany stary naczelnik zbójców, dając artyście ciężką sakiewkę z pieniądzmi: »No, jakże? jesteś kontent ze mnie?«

»O, i bardzo«, wykrzyknął młodzieniec z radością. »Nikczemni przekupnicy, którzy odemnie piérwszych szkic moich nabywali, ani mi o takiéj cenie pomyślić dozwolili. Ale odtąd całe moje życie téj boskiéj sztuce poświęcę, która ocalając mi życie, samemu na sobie poznać mi się dozwoliła; odtąd wszystkie moje obrazy nazwiskiem: »Salvator Rosa« oznaczać będę.«

»I zaprawdę«, rzekł poddowódzca bandytów, spojrzawszy na obraz swojéj ukochanéj małżonki, »to nazwisko Salvator Rosa, wieki powtarzać będą.«

SZPICBERGI.

WYJĄTEK Z NAJNOWSZEGO DONIESIENIA PANA MARMIER, o wyprawie okrętu *la Recherche.*

Gdyśmy na kotwicy stanęli, ze wszystkich strón nic więcéj nie widziałem, jak tylko same ogromne góry z kończatémi wiérzchołki, od których wyspa ta nazwę Szpicbergów otrzymała. Sąto zygzakowate, na kształt żagli ostro stérczące, czarne skały jéżące się w niebo. Poniżéj tych kolców widzisz spiętrzone urwiska śniegami pokryte, z których jakby śrébrnémi wstęgami toczą się strumienie i tworzą jeziora po dolinach. Płaszczyzny śnieżne, podobne gościńcom pośród gór się gubiącym, wtaczają się pomiędzy te niebotyczne lodowce. Gdy od nich z wstrętem oko oderwiesz, stawi ci się mglista, ponura, końca nie mająca przestrzeń morza, gdzie żadnego innego głosu nie usłyszysz, jak tylko sam jęk grobowy goelandu, morskiego ptaka, którego już samo nazwisko jęk i narzékanie oznacza; gdzie nic nie ujrzysz jak tylko w różne załomy wydętą pianę fal wyszumiałych, i ogromne nakształt gór, kolosów, zamków, bryły lodu, które burza w jedno miejsce amfiteatralnie zgromadziła. Na górach nie znajdziesz nic, jak tylko mokry, czarny mech, który w ziemię nie wpuszcza swych korzeni, a skoro go nadepcesz, natychmiast pod nogą od ziemi się odrywa. W niektórych jednakże gór wąwozach, znajdzie botanik żółty jaskier, *saksyfragę* i żółty porost *lichen* zwany, którego korzónki lodem są objęte, tudzież *azaleę*, owę wierną gór mieszkankę, jako ostatnią ozdobę téj pustéj, martwéj ziemi. Pan Wartens szukał nadaremnie w obwodzie zatoki dwóch kwiatów, któreśmy jeszcze w Belzundzie widzieli, to jest: *syleny* z małémi jéj różowémi dzwónkami, i *dryjasy;* znalazł jedynie roślinę *phipsia algida* zwaną, która jednakże w tych miejscach jest zaklętą, aby nie kwitnęła. Góry przedstawiają same łyse skały, a płaszczyzny same moczary, bez wszelkiéj roślinności.

Jednakże gdy mocny wiatr z powierzchni ziemi śnieg zmiecie, wtedy spostrzédz można tajemniczą wegetacyję, która się pod swoją zimną koszulą ukrywa; jestto czerwony śnieg, złożony z mnóstwa bardzo drobniuchnych roślin, które tylko mikroskopem rozróżnić się dają; tudzież zielony śnieg, będący podług zdania badaczów natury, tylko odmiennym czerwonego śniegu rodzajem, a w nim dojrzysz wijący się świat żyjątków *(infusoria),* które tą roślinnością się żywią.

Na brzegach morza nie widać żadnego ruchu życia. Wszędzie pustynia, martwota i uroczysta cisza, która jak okropne milczenie śmierci niemiłém uczuciem duszę przeraża; czasami tylko ujrzysz *Phoka,* (cielę morskie) które się na złomie lodu położywszy, ciekawie zielonémi oczyma jak sfinx w koło wodzi; a jeszcze rzadziéj białego delfina, który z szumem w około siebie fale roztoczy, a potém w głąb się zanurzy i zniknie.

Rzadko przebywają tu białe niedźwiedzie, nie widać ich w téj okolicy jak tylko w zimie, lecz częściéj ujrzysz lisa. Towarzysze naszéj podróży ubili kilka białych i błękitnych, lecz te są nieporównanie mniejsze niż lisy islandzkie i finlandzkie. W niektórych okolicach Szpicbergów, a szczególniéj niedaleko wybrzeża, są także w dzikim stanie renifery; bardzo trudno zbliżyć się do

nich. Nikt nie odgadnie, jak te źwiérzęta w tych miejscach wychować się mogą, niewiadomo nawet czém się w lecie żywią, a tém bardziéj w zimie.

Zrana po naszém przybyciu nastąpiło nasze wylądowanie, przyczém wszyscy majtkowie bardzo czynnymi byli. Dla magnetycznych experymentów, wystawiono na brzegu półwyspu *obserwatoryjum.* W pobliżu tegoż rozbito dwa namioty, jeden dla zabezpieczenia ludzi od wiatru i niepogody, a drugi dla przechowania *instrumentów.* Meteorolog powywieszał na wszystkie strony swoje baro- i termo-metry; geolog uzbroił się młotem i strzelbą, a malarze bardziéj niż my wszyscy zatrudnieni, nie wiedzieli z kąd mają swoję prace zacząć, tyle im się zarazem rzadkich i podziwienia godnych widoków do zdjęcia wpraszało.

Co do mnie, nie mógłem się dosyć nadziwić i napatrzyć temu wielkiemu, tak spaniale w około nas roztaczającemu się panorama, którego barwy, cienia i kształty co chwila się zmieniały. Czyto na głębią roztworu zatoki, czy na oddal śnieżnéj płaszczyzny, czy na wzniosłość gór szczytów patrzyłeś, wszystko to otaczał posępny obłok wyziewów bez żadnego światła i odblasku. Wśród téj grubéj mgły widziałeś tylko same w nieład zmiészane masy. Byłyto poprzerywane łańcuchy skał, porozpadane wiérzchołki gór, byłato bezsłoneczna ziemia, byłto dziki nieporządek natury, istotny obraz *Chaosu.* W chwili, gdy się nagle wzburzyło powietrze, gdy w przepastnych pieczarach z okropnym rykiem rozszalały wichr zawył, gdy lodowata skorupa gór przeraźliwie trzeszczéć zaczęła, wtedyś słyszał podobny do grzmotu huk toczącéj się w przepaść lawiny; a ten przytłumiony, śród powszechnéj ciemności, széroko od ściany do ściany rozchodzący się bałuch łomotnego echa, to upaduięcie ogromnéj ciężkiéj masy, rozsypującéj w około siebie strumienie święcących iskier; ogarniały duszę niewysłowionym podziwieniem i przestrachem zarazem. Ale skoro słońce znowu na powietrzokręgu stanęło, już wraz z nim wypłynął z ciemnego zamętu i widok najspanialszy; zaraz rozłożyły się przed okiem twojém urocze przedmioty, zaraz wyjawiły się w niebo stérczące gór iglice, zaraz rozwinęły się bez cieni i brudnych smugów, jasne śnieżnych płaszczyzn przestrzenie; już mgliste płaszcze zrzuciły z siebie olbrzymie lodowce, które światłem słońca spromienione, to przejrzystą błękitną do safiru podobną barwę, to znowu zieloność smaragdu przybiérając, jak niby rznięte bryły dyjamentowe, na wszystkie strony iskrawym ogniem świéciły. Pod wieczór rozścielił się posępny cień w oddaleniu; powiéw wiatru wzruszył lekko powierzchnię morza, jak wzrusza spokojne serce smutna myśl niespodzianie. Zwolna znikało słońce w grubych mgły przegubach; jeszcze tylko słaby, drżący, żółty blask rzucając na widokrąg. Poczém ucichł jęczący pisk wrón morskich, i nic już nie miészało ciemnego, wieczornego spokoju, jak tylko wiatr uganiający się po załomach jarów, i głuchy odgłos łoskotu, udérzających o siebie, po morzu nieustannie kołyszących się brył lodowych.

Półwysep razem z *obserwatoryjum,* z namiotami i długiémi w ziemię zatkniętémi żérdziami, na których termometry wisiały, przedstawiał widok nader malowniczy. Z tego miejsca rysowali malarze korwetę i masy lodów, które ją czasem otoczywszy, jakby świécącemi górami zasłaniały. Z tego miejsca lubiliśmy patrzyć na ogromne przestworze morza, na zatokę, z kądęśmy znowu do Francyi odpłynąć zamyślali. Półwysep ten jest cmentarzem dla tych, których śmierć na tém odludném, pustém wybrzeżu niespodzianie zaskoczyła. Jest ona pełna grobów, przykrytych troskliwie głazami, które na tém miejscu za nagrobki służą. Jednakże wiatr poroztrącał stosy tych kamieni, ulewa powymulała groby, deski się porozpadały, a kości zmarłych lub burza rozmiotła, lub pod śniegiem i lodem same od siebie w proch się obróciły. Czegoż czas nie zniszczy i nie zatrze! Na każdym z tych grobów wznosi się skromny krzyż drewniany z napisem, nic więcéj jak tylko dzień śmierci i nazwisko wyrażającym. Jeden z tych krzyżów zwrócił na siebie uwagę moję; było na nim wypisane znajome mi nazwisko pewnego Holendra, którego przygody i rozbicie okrętu czytałem. Przywołałem sobie w pamięć wszystko, co ten nieszczęśliwy człowiek oddalony od swéj ojczyzny wyciérpiał. Pozbiérałem kamienie, które jego kości od rozprószenia chroniły; pokładłem je znowu na jego mogile, i na pamiątkę jego kilka wiérszy napisałem.

Zatoka Magdaleny tudzież inne zatoki strony północnéj i południowéj, były dawniéj częściéj niż teraz odwidzane. W wieku siedmnastym toczyły bój zacięty cztéry narody o piérwszeństwo łowienia w nich wielorybów. Dla utrzymania swego mniemanego prawa, wysłały wojenne okręty. Chęć zysku nié ma granic, a o lodowce Szpicbergów łamał się nieraz okrzyk wojenny i grzmot dział spiérających się stronnictw. W roku 1606 zawiązało się w Anglii pod nazwiskiem moskiewskiéj kompanii towarzystwo, które powzięło zamiar w tych północnych okolicach zyskowne zbiérać plony. Przez lat kilka płynęły do Szpicbergów same tylko statki tegoż towa-

rzystwa na połów wielorybów. Gdy Holendrzy zamyślili mieć równy udział w téj zdobyczy, sprzeciwili się ich zamiarom Anglicy, i kilka okrętów im zabrali. W roku 1613 otrzymało moskiewskie towarzystwo od Jakóba I. przywiléj, którym król ten przyznał mu bezwarunkowe prawo łowienia wielorybów w morzu pod biegunem północnym z wyłaczeniem wszystkich innych narodów. Towarzystwo to uzbroiło siedm statków wojennych, i wyparowawszy Holendrów, Francuzów i Biskajczyków z zatok Szpicbergskich, zatknęło na ich wybrzeżach krzyż z godłem narodowém i napisem imienia króla angielskiego. Od téj chwili Szpicbergi zwano ubogim krajem króla Jakóba; w roku 1614 posłali Anglicy trzynaście okrętów do tych wybrzeży i wyłączne ich posiadanie sobie przywłaszczyli.

POŻEGNANIE
DO
FELIXA LIPIŃSKIEGO
ODJEŻDZAJĄCEGO ZA GRANICĘ.

Co za wieść smutna krąży w naszym kraju!
Czy nam powtórnie mistrza grozi strata?
Felix—Lipińskich sławnego rodzaju
Zegna ojczyznę na wzór swego brata.

Rodaku luby! jedziesz w obce strony,
Kochanką twoją zadziwiać narody;
Pomniéj!... Ojczyste Muzy bez obrony
Zejdą się smutne na wokalne gody.

Słowik gdy zechce zanucić sielankę,
Od kogoż weźmie swojéj piosnki wzory?
Jakże przywabi do siebie kochankę?
Gdy on umilknie, oniemieją bory!

Nie!... Ty powrócisz — nauczysz go śpiewać;
On wdzięczny za to, w wieczór i poranek,
Znowu z swą lubą złączony kochanek,
Będzie twą sławą tkliwą pierś rozgrzéwać.

Chwała cię wzywa! Jedź nam wieszczu młody,
Wystąp jak śmiały bohatér w obczyźnie;
Niechaj cię wszystkie poznają narody,
Jak cię rodacy poznali w ojczyźnie.

Łza smutku płynie dziś po naszéj twarzy,
Tylko nam pamięć zostawiasz po sobie;
Niejeden piosnką żałobna dziś skarzy —
Lecz cię żegnamy! Chwały życzym tobie!

A gdy nasz Felix znowu nam zagości,
Kiedy przybędzie z laury i koroną,
Gdy go powita przyjacielskie grono,
Łzę weźmie w dani, ale — łzę radości.

Krzysztof J.......

DO FLORY PO BALU MASKOWYM.

Widziałem na tym świecie ludów milijony,
Łączyły mię udanéj przyjaźni mamidła,
Zwidziłem za granicą obcych krajów strony,
I cóż wszędzie panuje? — maska zbyt obrzydła!
Wszedłem na bal maskowy, tam znalazłem Ciebie,
Przemówiłem do maski — tyś witała mile,
Choć larwą twarz pokryta, odsłoniłaś duszę
Tak czystą, tak prawdziwą, jak aniołów w niebie.
Chcesz odjeżdzać? Bądź zdrowa! Żegnam Cię na chwilę;
Sercem Cię odprowadzam, chociaż zostać muszę.
A gdy losem znękany upadnę na sile,
Gdy cyprys na grobowéj zakwitnie mogile,
Pomniéj, że ten, co dzisiaj »Bądź zdrowa« Ci pisze,
Pamięć weźmie ze sobą w grobową zaciszę!

K. J.

ZE LWOWA.

O wychodzącém w Lipsku dziele: *Korona Polska*, czyli *herby i familije rycerskie*, przez X. Kaspra Niesieckiego, słusznie wyrzekło jedno z naszych najszacowniejszych pism: że w dziele tém ciężka praca Niesieckiego jest zeszkaradzona i buremi łatami posztukowana. Pan Bobrowicz powykrawywał kawałki z Duńczewskiego i Wielądka i niémi połatał, pozszywał dziury w Niesieckim. Ale z jakich źródeł czerpał on najnowsze dopełnienia, i jaką się w tym względzie powagą zasłonić może, zapyta każdy kto bezstronnie przejrzał dotychczasowego wydania tom II., III. i IV aż do litery K. Pełno w niém kłamstw i bredni, co do osób dziś jeszcze między nami żyjących. Jednym ponadawał stopnie, jakich nie mieli i nie mają, innych poprzyozdabiał zaszczytami, o jakich im się chyba tylko śniło. Żałować bardzo przychodzi, że księgarze Breitkopf i Haertel nie poszukali sobie zamiast pana Bobrowicza, jakiego innego prawdziwie uczonego męża, którýby się był wcale inaczéj z téj pracy literaturze wywiązał. *Galicyjanin.*

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 13. i obejmuje: 1) O uprawie lnu i korzyściach z niego. 2) Przepis robienia bołowicy na zaciér z 20 korcy kartofli. 3) Nader ważne wyjaśnienie dla czego wartość złota co raz bardziéj się zmniejsza. 4) Wiadomości czasowe.

Lwowianina, wydawanego w połączeniu prac miłośników nauk, zeszyt dziesiąty, opuścił prasę dnia 1go kwietnia r. b.

Wiadomości literackie. Z Warszawy: Ukazało się na widowni warszawskiéj jeszcze jedno efemerydyczne, do zabawy przeznaczone zjawisko. Nosi nazwę:

Muzeum śmieszności. Pierwszy zeszyt już wyszedł z księgotłoczni Kaczanowskiego, z sześciu rycińkami. Obrazki te są przerysami paryzkich. Pan Głowacki je wykonał, a pan Szymanowski podorabiał opisy, zawierające dwie lub trzy najwięcéj, w ćwiartkę złożonych kartek. Wydanie ozdobne, druk bujny, ale tym, którzy za tanie pieniądze lubią miéć bardzo wiele wytłoczonych rozmaitości w małym papiéru przestworze, wyda się jeszcze bujniejszym, niźli jest w rzeczy saméj. Jakkolwiek trudno i przykro do rycin tworzyć i stósować opisy, — jakkolwiek cieszyć się trzeba, iż są jeszcze tacy, co nas cieszyć, zabawiać i rozśmieszać z duszy i serca pragną; mimo to jednak, szczérą musimy wyznać prawdę, z przekonania wewnętrznego płynącą, że i same nawet karykatury wolelibyśmy własne, niż cudze. Z tém wszystkiém, *lepszy rydz, niźli nic:* tak niesie przysłowie. *(P. Kr.)*

W Warszawie skończył się druk drugiego tomu *Numizmatyki Krajowéj*, p. Bandtkiego — a wkrótce skończy się i drugi tom: *Pamiętników o królowéj Barbarze*, przez Michała Balińskiego.

Józef Sękowski, profesor języków wschodnich, który wydał w języku polskim: *Collectanea z dziejopisów tureckich, rzeczy do historyi polskiéj służących*, znany jest teraz pod imieniem barona Brambeusa, jako autor wielu powieści fantastycznych i krytycznych w języku rossyjskim. Zebrał je i przełożył na mowę własną pan Obuchowicz. Wizerunek p. Sękowskiego, jako Redaktora naczelnego *Biblijoteki do czytania*, razem z powieścią jego, pod nazwą: *Peremiena gław w knigi i knig w gławy*, znajduje się na samym początku w zbiorze *Stu ruskich literatów*, z przerysem własnoręcznego podpisu autora *(fac simile)*, któremu b. Towarzystwo Warszawskie przyjaciół nauk, zalecając gorliwość jego w poświęcaniu się literaturze wschodniéj, przeznaczyło w 1821 roku, zł. 2000 na przedłużenie pobytu za granicą. Bawił on wtedy w Azyi. (Patrz *Dziennik Wileński* T. I. str. 128 z roku 1821.)

Żydowskie peryjodyczne pismo we Francyi. Pan Cohen, znany tłumacz starego testamentu na język francuzki, wydał niedawno piérwszy poszyt czasopisma, pod nazwą: *Archives israelites de la France.* Pismo to zawiéra doniesienie o dawnym i teraźniejszym stanie Żydów we Francyi, równie jak i o nowoczesnéj literaturze hebrejskiéj. Numer piérwszy obejmuje uwagi godny artykuł o żydowskiéj literaturze od 1789 roku.

Koran w minijaturze. Na zgromadzeniu towarzystwa zajmującego się przekładaniem dzieł wschodnich, przedłożono kilka podarunków, a między innémi także koran w minijaturze, który pięknie jest iluminowany i napisany na zwoju niemającym jak tylko dwa cale szérokości, tak dalece, iż takowy z daleka, jako mieniąca się wstęga wygląda. Ma to być jedna z najsławniejszych prób kaligrafii wschodniéj.

Nadużycie poczty w Anglii. Wiadomo, iż członkom parlamentu angielskiego wolno było dawniéj posyłać pocztą bezpłatnie listy swoje, i że wolność ta z początkiem tego roku ustała, gdyż wielkie z tego powodu działy się nadużycia. Sam nawet Caning posłał raz pocztą swojemu przyjacielowi do Irlandyi trzy wielkie folijanty. Tym sposobem szły nieraz pocztą suknie, buty, tudzież inne przedmioty, a pewnego razu nawet kozła, jako frankowany list do Doweru posłano.

Organy wiatrakowe i trąby parowe. Książę Brancaforte, jak włoskie pisma publiczne donoszą, kazał na wzgórzu swego zwierzyńca niedaleko Messyny zbudować kolosalne organy, których miechy od wiatraków są poruszane. Organy te mają tak potężny wywierać skutek, iż tony ich na trzy włoskie mile usłyszeć można. Też same pisma donoszą, iż dwaj panowie, jeden Anglik a drugi Francuz, będący właścicielami dóbr położonych nad cieśniną Kaletu, kazali tuż przy morskiém wybrzeżu zbudować trąby parowe, i że podczas pięknych i cichych wieczorów, témi trąbami wyprawiają duety, które po całéj okolicy podobnie jak łoskoty gromów się rozlegają i doskonałością swoją wszystkich obecnych w zadziwienie wprawiają.

Lecząca woda pana Bracheries. Kilku członków lékarskiego towarzystwa w pomieszkaniu doktora Pazin rozpoznawało ten płyn, mający miéć własność tamowania krwi i uleczenia każdéj rany w jak najkrótszym czasie. Uczyniono w téj mierze próbę na cielęciu. Zraniono je i odwilżono ranę tą wodą; pokazało się, iż rana zaskorupiała, a cielę w kilku godzinach zupełnie wyzdrowiało.

Więzienie zegarmistrzów. W Genewie jest mały czarny dóm, w którym zegarmistrze za długi, bójki lub za inne małe wykroczenia uwięzieni bywają. Rzecz dziwna, iż po większéj części najzdatniejsi robotnicy tam się dostają, i rzemiosło swoje prowadzą. Z tego powodu wyroby wychodzące z tego więzienia, zjednały sobie tak wielką sławę, iż wielu rzemieślników, jedynie w celu uzyskania za swą robotę większéj płacy, za zmyślone długi w tym domu więzić się każe.

Sposób uśmierzenia dąsania. W Indyjach u kast najznakomitszych jest pewne, nie złe urządzenie. I tak, w każdym domu jest pokój zwany *Brodhagara*, to znaczy pokój dąsania. W tym tedy pokoju zamykają każdą kobietę, skoro jest w złym humorze lub rozgniewana, i trzymają w nim tak długo, aż pokąd samotność gniewu jéj nie uśmierzy. Czy nie możnaby o takich pokoikach i u nas pomyśléć?

Londyn. W tém mieście rzadko już teraz znajdziesz starożytne budowle. Londyn co do istoty jest nowoczesném miastem. Znajdziesz tam tak świéżo-wystawione całe dzielnice miasta, mające milę długości, iż się zdaje, że od domów dopiéro co rusztowanie odjęto. Na piérwszy rzut oka poznasz, że jesteś w kraju stowarzyszenia, które te dziwy sprawia; nie szczędzą tam bowiem żadnéj starożytnéj aczby najspanialszéj budowli, skoro takowa w równéj linii z innémi domami nie stoi. W Londynie nie masz teraz nic starożytnego, jak tylko ubóstwo, które tam jeszcze ohydniéj niż w Paryżu wygląda; tém bardziéj że je widzisz obok największego przepychu, i że w tak modnym ubiorze jak i bogactwo chodzi. Ta równość ubioru jest bardzo zadziwiającą w kraju, gdzie towarzyska nierówność tak mocno w oczy uderza. Nie nadmieniam tu jak tylko o kobietach. Wszystkie niewiasty w Londynie ubiérają się na sposób jednaki, z tą jedynie różnicą, iż ubiór, który u znakomitych dam jest świéży i nowy, u niewiast niższéj klasy jest połatany i nieschludny. Znajdziesz tam miejsce, gdzie pokojówki stroje dam swoich sprzedają. Tam zaopatruje się niemi średnia klasa, pocém te same ubiory idą jeszcze raz na sprzedaż i dostają się żebrakom, najostatniejszéj klasie ludzi. Nie masz w Londynie właściwego ubioru i kokieteryi Gryzetek; ale za to po ulicach i ogrodach w Londynie ujrzysz kobiety w szalach i kapeluszach, w zupełnéj toalecie dam znakomitych, tylko że takowe są wytarte, zużywane, wyplowiałe, lub z grubszéj materyi. Ale też za to we Francyi nie ujrzysz dzieci tak czérstwéj céry. —

Teatr anatomiczny w Paryżu ma napis: *Hic locus est, ubi mors gaudet, succurrere vitae.* (Tu jest miejsce, gdzie śmierć się raduje, iż życiu pomoc niesie.)

Ajent królowéj Madagaskaru, który roku 1831 przybył do Paryża, zwał się: *Kiuija-Mohallau-Zwoll-Zig-Zou-Mu-Kompuluf-Kir-Kerid-Ziz-Zog-Mi-Nanuf-Mor-Fi-Tink-Ziu-Rom-Olhara-Aff.*

Opinija publiczna. Napoleon rzekł do pani Campan, iżby się nie obawiał opinii publicznéj, gdyby jéj bitwę mógł wydać; ale że nié masz broni, którąby ją dosięgnąć można, dlatego sprawiedliwością i dobrocią pozyskiwać ją należy. Tym dwóm potęgom oprzéć się ona nie może; chciawszy innemi sposoby na nią działać, znaczyłoby honor i szczęście na niebezpieczeństwo narażać. Naprzeciw opinii publicznéj poskramiać się należy.

Ubóstwo w Europie. Z 230 milijonów ludzi zamieszkujących różne kraje europejskie, podług najnowszych francuzkich, statystycznych wykazów, jest niemal 14 milijonów ubogich. Anglija ma ich najwięcéj, na 6 mieszkańców przypada w przecięciu 1, we Francyi 1 na 18, w Niemczech 1 na 20, we Włoszech 1 na 22, a w Portugalii 1 na 25.

Talent we śnie. Pewne podziwienia godne zdarzenie zajmuje teraz uwagę lekarzy paryzkich. Jedna młoda dziewczyna posiada we śnie, to jest w pewnym gatunku somnambulizmu przymioty, na których jéj podczas czuwania zupełnie zbywa. Przekonano się o tém w sposób niespodziéwany. Ojciec jéj życzył sobie, aby się śpiéwać i grać uczyła; z tego powodu przyjął dla niéj nietylko najzdatniejszych nauczycieli, ale nawet brał ją z sobą często na wielką, włoską operę. Mimo tego ojcowskiego starania i pilności ze strony młodéj panienki, głos jéj był zawsze ostry i nieprzyjemny. Lecz oto niedawno ocknął się jéj ojciec w nocy ze snu, i usłyszał czarujące tony, które ucho jego głaskały. Z początku sądził, że muzyka ta z sąsiedzkiego domu słyszéć się daje, ale niebawem przekonał się, że tony z pokoju jego córki wychodziły. Wstał więc z łóżka, i zbliżywszy się, postrzegł z zadziwieniem, że córka jego siedząc przy fortepijanie śpiéwa aryję, któréj w dzień na żaden sposób zaśpiéwaćby nie mogła. Uważał to przez kilka nocy, tak, że śpiéwaczka bynajmniéj się tego nie domyśliwała.

Dziwak. Lord Reginald Sejmur był oryginałem, pochopnym do płatania różnych psot, któremi zawsze powszechną uwagę na siebie zwracał. Jednego dnia po południu, ujrzano go w alejach królewskiego zwierzyńca, przechadzającego się z przecudnie pięknym tygrysem. Wszyscy obecni, do których się przybliżył, postrzegłszy tygrysa, uciekali z przestrachem od lorda. Niebawem pojawił się konstabl, który go imieniem praw zapytał, z kąd mu przyszło na myśl tak dzikiego zwierza wprowadzać do publicznego ogrodu, wiedząc, iż widok jego wszystkich przechadzających się przeraził. — »Przecież wolno mi«, odrzekł lord »przebrać mojego służącego w liberyję, jaka się mi podoba. Ile mi wiadomo, nié masz żadnego prawa, któreby mi zakazywało mojego służącego zaszyć w skórę tygrysią.« — »Więc to nie jest tygrys, tylko....« — »Nabuchodonozor, mój służący z nowéj Fundlandyi.« — To usłyszawszy konstabl, ukłonił się i przeprosiwszy lorda, odszedł. — Lord Reginald był wielkim lubownikiem zwiérząt exotycznych; między innemi miał także bardzo piękną małpę, którą Sokratesem nazywał, i wziął ją jednego wieczora z sobą do loży w teatrze Drurylane. Sokrates siedząc obok swojego pana, kokietował na sposób wyświéżonych modnisiów przez lorynetkę to tę, to owę damę. Gdy z tego powodu powstał rozruch w parterze, przyszedł znowu konstabl z zapytaniem, jakiem prawem poważył się lord brać z sobą małpę do loży? — »Lożę tę«, odrzekł lord, »nająłem na lat pięć i za którą zapłaciłem. Ile mi wiadomo, nié masz żadnego prawa, któreby mi zakazać mogło brać z sobą towarzysza do loży?« — »Lecz obecność towarzysza twego lordzie, sprawia rozruch w parterze, i wszystkich widzów oczy na twoję lożę zwraca...« — »Albożto moja wina? alboż ja każę widzom, aby się na mego Sokratesa patrzyli? Jestem panem w méj loży, i jeżeli się wpan natychmiast nie oddalisz, więc pozwolisz, iż prawa gospodarza użyję.« — »Rozumiem, rozumiem«, odrzekł konstabl i odszedł z pośpiechem. — Podczas zapust przyjechał lord Reginald Sejmur do Paryża. Jednego wieczora, gdy w teatrze *Feydeau* był wielki bal maskowy, pośród mnóstwa masek pojawiły się dwa niedźwiedzie, jeden czarny a drugi biały, które zaraz przy wnijściu do sali zwróciły na siebie wszystkich obecnych uwagę. Obadwa te niedźwiedzie idąc na tylnych nogach i trzymając przedniémi łapami kij na grzbiecie, tańczyły *pas de deux*, a to tak śmiesznie, iż obecni sądząc, że tańcujący są w saméj rzeczy maskami, nie mogli się niémi dosyć nacieszyć. Jeden z tychże niedźwiedzi — czarny — grał swoję rolę tak co do chodu jak i postawy z taką prawdą i charakterystyczną wiernością, że wszystkie inne maski, a najszczególniéj damy paryzkie, lubiące wszystko, co tylko nadzwyczajne, tym niedźwiedziem zachwycone były. Niektóre zaczęły z nim rozmawiać, upewniały, że go znają, i szeptały mu różne nazwiska do ucha. Ale niedźwiedź nie wychodził z swéj roli; nie odpowiadał nic — tylko mruczał. Lecz gdy jedna z dam obsypała go cukierkami i wachlarzem swoim po mordzie musnęła, niedźwiedź tém ośmielony, podniósł przednie swe łapy, i tak ciężko położył je na ramionach pięknéj damy, iż na wykrzyk przestraszonéj, białe jéj ciało pazurami zadrasnął, a spuszczając się śpiesznie na dół, poszarpał jéj domino różowego koloru. — »A to za nadto, maska za daleko wolność swoję posuwa! Jestto wykroczeniem przeciw przyzwoitości!« rzekły niektóre z masek, cisnąc się do nieobyczajnego niedźwiedzia, by go skarcić za tę zuchwałość. Niedźwiedź urażony tą natarczywością, zaczął im dzielny odpór stawiać. W tém jakiś pan w czarne domino ubrany, zbliżywszy się do niedźwiedzia rzekł: »Mości panie, zdaje się, iż przyszedłeś tu jedynie, abyś rozruch między publicznością sprawił. Proszę bardzo, powiedzieć mi swoje nazwisko; jestem komisarz policyi, a przeto upoważniony każdemu burzycielowi spokojności przyzwoite zachowanie się nakazać.« — Na te słowa komisarza policyi, niedźwiedź znowu mruczéć zaczął, ale w téjże saméj chwili zbliżył się biały niedźwiedź do komisarza i rzekł: »Oto masz wpan bilet. Nazwisko moje będzie mu rękojmią, że jutro gotów jestem wynagrodzić szkodę, którą mój towarzysz uczynił, i uléczyć ranę, którą zadał.« — To rzekłszy, wziął swego czarnego kolegę pod ramię i wyprowadził go z sali. — Nazajutrz umieszczono w *Gazette de France* następujące uwiadomienie: »Te dwa niedźwiedzie, które na wczorajszéj reducie tak wielką na siebie zwróciły uwagę, byłyto jakeśmy się właśnie z pewnością od samego komisarza policyi dowiedzieli — byłyto: ów sławny dziwak lord Reginald Sejmur i Rocco, jego udresowany niedźwiedź. Mniemamy, iż nowina ta wcale niepocieszną będzie dla damy, która jednemu z nich na dzień dzisiejszy słodkie *rendevous* przyrzekła.«

Sprostowanie:

W Nrze 13. Rozmaitości w 7méj kolumnie w drugiéj przedz. wierszu 1szym z góry, zamiast z Głogowy, czytaj: z Głogowa. — W 8. kolumnie w drugiéj przedziałce, wierszu 11m z dołu, zamiast: rzeczach, czytaj: rzeczy.

REDAKTOR J. N. KAMIŃSKI. — NAKŁADEM SPADKOBIERCÓW F. KRATTERA. — DRUKIEM P. PILLERA.